

Nieznośna płytkość polskiego liberalizmu

22 października 2017

Polscy liberałowie lubią przedstawiać się jako odpowiedzialni Europejczycy i światowcy. Cały ich program polityczny można sprowadzić do stwierdzenia: niech będzie u nas tak, jak jest na Zachodzie. Dotyczy to w szczególności niezbyt wyszukanej wersji centro-liberalizmu, która dominuje w Polsce od czasów transformacji („odrzućmy zarówno prawicowe, jak i lewicowe wybryki, kochamy wolny rynek”). Paradoks polega na tym, że płytkość myśli naszych liberałów ujawnia się najbardziej właśnie wtedy, gdy zaczynają się wypowiadać na temat Europy, świata czy mitycznego Zachodu. Szybko okazuje się bowiem, że ich wyobrażenia są zbudowane nie na skomplikowanej rzeczywistości, lecz na bajce, szczególnie popularnej w latach 1990.

Jej treść sprowadza się do kilku haseł: kapitalizm oznacza wolność, wolny rynek oznacza demokrację, zachodnie elity polityczne i finansowe są obrońcami lepszego świata, a instytucje takie jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy to neutralne placówki naukowe promujące obiektywne procesy gospodarcze. Jedyną pociechą polskich liberałów jest to, że na prawo od nich bywa jeszcze głupiej. Wierzy się tam bowiem w bajkę o chrześcijańskiej Polsce otoczonej przez upadający pod ciężarem grzechów politycznej poprawności Zachód. Tylko co to za radość dla ludzi, którzy chcieliby debaty politycznej na wyższym poziomie?

O jakości polskiej myśli liberalnej przypomniał niedawno niezastąpiony Tomasz Lis, który po niespodziewanym sukcesie Partii Pracy w wyborach brytyjskich, nazwał jej lidera, Jeremy'ego Corbyna, „komuchem”. Wtórował mu Cezary Michalski z „Newsweeka”, próbujący w swoim powyborczym tekście zrobić wszystko, aby w głowach czytelników i czytelniczek słowo

„Corbyn” zlało się ze słowem „populizm”. Tymczasem na wymarzonym Zachodzie do Corbyna w ostatnich miesiącach zaczęli przekonywać się nawet ludzie tacy jak Roger Cohen – publicysta „New York Timesa”, o którym można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że ma radykalnie lewicowe poglądy. Umiarkowany wzrost sympatii do szefa Partii Pracy wśród części zachodniej opinii publicznej nie wynika z jej nawrócenia na lewicowe wartości, lecz z tego, że ma ona przynajmniej minimalne pojęcie o problemach, z jakimi zmagają się współczesne kraje rozwinięte. A są to: rosnące nierówności, coraz bardziej kłująca w oczy nieskuteczność polityki oszczędności, doprowadzone do horrendalnych rozmiarów wpływy wielkiego biznesu oraz niewiarygodność politycznych elit. Cohen i jemu podobni mogą nie podzielać lewicowych recept Corbyna, ale przynajmniej widzą, że odnoszą się one do istniejących problemów i nie da się dłużej pisać o polityce tak, jakby u rządów nadal byli Tony Blair i Gerhard Schröder.

Jednak większość „odpowiedzialnych Europejczyków” z naszego kraju nadal żyje w świecie starej bajki, która ukształtowała Polskę w trakcie transformacji. W tej bajce politycy tacy jak Corbyn są komunistami lub – nowa nazwa wcielonego zła – populistami. Niezależnie od tego, czy nasi liberalni centryści wypowiadają się na temat wyborów na Wyspach, międzynarodowych traktatów handlowych, problemów Stanów Zjednoczonych, czy wyzwań, przed którymi stoi Unia Europejska – powracają w ich wypowiedziach te same motywy wzięte z lat dziewięćdziesiątych. Ze wszystkich przykładów obrazujących ubogość politycznych analiz polskich liberałów na czoło wybija się ich stosunek do Grecji zmagającej się z ogromnym długiem publicznym.

O greckich problemach było w naszym kraju stosunkowo głośno przez chwilę, gdy tamtejszy rząd negocjował z Trojką (Komisja Europejska, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Europejski Bank Centralny) warunki pomocy. Teraz mało kto zajmuje się tym tematem. Na Zachodzie, do którego tak wzdychają liberalne elity, wciąż się jednak o nim dyskutuje, szczególnie wśród

intelektualistów. Kryzys Grecji stał się bowiem symbolem kryzysu całej Unii Europejskiej, a w szczególności strefy euro. Po tym, jaki stosunek ma dana osoba do tarć na linii Grecja-Trojka, można rozpoznać jej poglądy na temat przyszłości zjednoczonej Europy. Dlatego warto przypomnieć sobie, co nie tak dawno temu wypisywali o greckich problemach polscy „specjaliści” lubiący stylizować się na liberalnych obrońców zdrowego rozsądku, i porównać to z opiniami części zachodnich ekspertów.

Tomasz Lis z problemów Grecji wyciągnął proste przesłanie: nieodpowiedzialni Grecy wydawali zbyt dużo, wpadli w długi i muszą za to zapłacić. „Nie można żyć ponad stan, nie można zamiatać problemów pod dywan, nie można w nieskończoność okłamywać siebie i innych, nie można wierzyć w ordynarne kłamstwa i puste obietnice polityków. Rachunki bowiem tak czy owak w końcu trzeba zapłacić. Im później, tym wyższe” – pouczał. W podobnym duchu wielokrotnie wypowiadał się Cezary Michalski, oskarżając rząd Syrizy, który próbowała wynegocjować lepsze warunki z Trojką, o – jakżeby inaczej – populizm.

Lisa i Michalskiego łączy również to, że obaj traktowali przykład Greków jako przestrozę dla Polski. Na zasadzie: zobaczcie, co się dzieje, gdy władzę przejmują nieodpowiedzialni populiści. W okolicach 2015 r. motyw „Strzeżcie się greckiej ścieżki” nieustannie powracał w wypowiedziach komentatorów politycznych. Doktor habilitowany Radosław Markowski tłumaczył w Radiu TOK FM, że „Ryszardowi Petru jak na tacy podano możliwości wypromowania swojego ugrupowania. On może palcem wskazywać na greckie przykłady, czego nie wolno robić, by kraj nie popadł w zapaść gospodarczą”. W tej samej stacji Renata Kim przestrzegała, że grecki kryzys powinien być dla nas lekcją i nawiątywała polityków do gospodarczej odpowiedzialności.

Najlepiej o sile tej (neo)liberalnej opowieści świadczy to, z jakim samozadowoleniem powtarzali ją politycy teoretycznie

reprezentujący lewicowe poglądy. Andrzej Celiński miał o Grecji do powiedzenia tyle, co Tomasz Lis. „Tsipras” [premier Grecji] „wygrał, bo naobiecował Grekom, że rachunki ich ułomnej ponad miarę demokracji zapłacą inni. A dlaczego mieliby płacić? – dopytywał w jednym z felietonów. I dodawał: Dobrze życzę Grecji. Życzę jej zerwania z populizmem. Pogonienia Syrizeny. Zanim będzie za późno.”

Na zadane przez Celińskiego pytanie, dlaczego inni mają płacić za Grecję, padło w ciągu ostatnich lat kilka sensownych odpowiedzi (w większości były one już znane, gdy polski polityk pisał swój tekst). Jednym z odpowiadających był Janis Warufakis, kiedyś minister finansów Grecji, a dziś lider DiEM 25 – międzynarodowego ruchu na rzecz demokratyzacji Unii Europejskiej. Jako że Warufakisowi można zarzucić stronniczość, skupmy się tylko na faktach, które trudno podważyć. Przede wszystkim zauważa on, że likwidacja dużej części długów, o którą prosił rząd grecki, nie jest niczym niezwykłym w historii Europy. Gdyby nie zdecydowano się taki gest wobec Niemiec po II wojnie światowej, to zarówno gospodarka niemiecka, jak i prawdopodobnie europejska miałyby się dzisiaj o wiele gorzej. Kiedyś w imię długofalowych interesów potrafiliśmy wyjść poza bezwzględne myślenie typu „długi muszą być spłacane”, więc dlaczego nie dziś? Podobnie sądzi Thomas Piketty, autor słynnego „Kapitału w XXI wieku”. Działania Niemiec i Francji wobec Grecji nazywa wprost hipokryzją oraz „historyczną amnezją”.

Co więcej, przypomina Warufakis, do powstania niespłacalnych długów potrzeba dwóch stron: pożyczkobiorcy oraz pożyczkodawcy. Czemu karany ma być tylko ten pierwszy? Czy banki, które w pogoni za jak największymi zyskami udzielały nieodpowiedzialnych pożyczek, nie powinny ponieść odpowiedzialności? Tym bardziej, że duża część pieniędzy, jaką dostają Grecy od instytucji europejskich w zamian za bolesne reformy, tak naprawdę trafia ostatecznie nie do nich, lecz do ich wierzycieli. Czy francuskie i niemieckie banki byłyby

gotowe dzielić się swoimi zyskami z greckim społeczeństwem, gdyby ich ryzykowne transakcje się opłaciły? Czy nie powinno nas niepokoić, że kto inny czerpie korzyści z nieodpowiedzialnych pożyczek, a kto inny ponosi ich koszty?

Kolejną cegiełkę do tej argumentacji dorzuca Mark Blyth, ekonomista z Brown University. Jak zauważa, narzucona Grecji polityka cięcia wydatków publicznych nie dotyka w równym stopniu całego społeczeństwa. Biedniejsi odczuwają ją o wiele mocniej niż bogatsi, bo ich byt w znacząco większym stopniu zależy od sprawnego państwa. Bajka o rozrzutnych Grekach i wspaniałomyślniej Europie, gdy spojrzeć na nią krytycznym okiem, szybko zamienia się w historię o najmniej zamożnej części społeczeństwa greckiego, która musi płacić za interesy ubijane przez elity jej kraju ze światem finansjery. Warto dodać, że kolejną grupą społeczną cierpiącą na obecnej sytuacji są młodzi Grecy, dopiero wchodzący na rynek pracy. Z powodu recesji bezrobocie wśród nich osiąga rekordowe rozmiary.

Na tym nie koniec. Istnieje szeroki konsensus, że narzucona Grecji drakońska polityka oszczędności oraz spłacania długów jedynie pogarsza sytuację zarówno jej, jak i całej Europy. Piszą o tym i Warufakis, i Piketty, i Blyth, i Paul Krugman, i Joseph Stiglitz. Nawet wśród współautorów programu „pomocowego” dla Grecji narasta przekonanie, że popełniono błąd. Christine Lagarde, szefowa MFW, przyznała, że narzucenie Grekom restrykcyjnej polityki zaciskania pasa było złym rozwiązaniem i należałoby przemyśleć cały plan pomocowy od nowa. Na początek trzeba umorzyć część greckich długów.

Wielu ekonomistów uważa też, że kłopoty Grecji obnażyły błędy konstrukcyjne samej waluty europejskiej. Zarówno Stiglitz, jak i Piketty przekonują, że kraje strefy euro powinny mieć wspólny dług, aby zapobiec niestabilnościom wywoływanym przez to, że państwa będące najśłabszym ogniwem są narażone na wysokie oprocentowanie własnych należności. Wspólny dług oznacza większą odporność na spekulacje rynkowe i wahania

koniunktury. Innymi słowy, strefa euro może działać tylko wtedy, gdy najsilniejsi będą wspomagać najsłabszych, a nie gdy będą im narzucać niszczące rozwiązania w celu ratowania własnych banków – przekonują Stiglitz i Piketty. Zresztą, jak argumentuje ten drugi, jeśli mamy traktować deklaracje o zjednoczonej Europie serio, a nie jako retoryczny trik, to dotychczasowy system jest bezsensowny. „Najbardziej absurdalne jest to, że długi europejskie z roku 2015 są w większości długami wewnętrznymi, tak jak w 1945 roku” – pisze Piketty. – „Banki francuskie mają udziały w długach Niemiec i Włoch, niemieckie i włoskie instytucje finansowe posiadają dużą część długów Francji itd. Jeśli jednak rozważymy strefę euro jako całość, jesteśmy winni pieniądze sami sobie.” Stiglitz, Piketty oraz Warufakis sądzą również, że Unia Europejska musi odrzucić dogmat o skuteczności mechanizmów wolnorynkowych i wypracować silne polityczne narzędzia pozwalające na skuteczne przeciwstawienie się najsilniejszym graczom na rynku. To zaś wymaga między innymi reformy Europejskiego Banku Centralnego oraz demokratyzacji europejskich instytucji, a także większej integracji politycznej.

Nie trzeba się zgadzać ze wszystkimi opiniami wymienionych ekonomistów, warto jednak docenić, że wychodzą w swoich tezach poza powierzchowne rozpoznania o leniwych i nieuczciwych Grekach. Widać, jak dalece odmienna jest ich perspektywa od połajanek Lisa, Michalskiego czy Celińskiego. To różnica między ludźmi, którzy myślą o Europie na serio, a tymi, którzy traktują ją jako poręczne hasło służące do walenia po głowie politycznych przeciwników. Między tymi, którzy patrzą na skomplikowaną rzeczywistość, a tymi, którzy odwołują się do neoliberalnych mitów. Między tymi, którym naprawdę zależy na budowaniu wspólnej i solidarnej Europy, a tymi, którzy wolą uprawiać politykę moralnej wyższości.

Autorstwo: dr Tomasz Markiewka

Źródło: NowyObywatel.pl